

Z jak zombi

Postaci zombi, które opisałem w tej książce, choć wydają się dotknięte szaleństwem, są całkowicie prawdziwe. Niczego nie wyolbrzymiłem, za to wiele pominąłem. Oczywiście, jak głosi mądrość z dworcowego baru, „nie wszyscy Rosjanie są tacy”. Ja również chętnie się pod tym podpiszę. Niemniej jednak to właśnie mutacja Rosji w toksyczny Zombiland umożliwiła rozpoczęcie wojny. Teraz możemy tylko zrozumieć mechanizm tego obłędu czy chociaż zbliżyć się do jego zrozumienia, żeby nauczyć się mu zapobiegać, a w razie potrzeby leczyć dotknięte nim jednostki.

Kilka słów (o) zombi

Wbrew temu, co można by sądzić, większość zombi to dobrzy ludzie. Kochają swoich bliskich tak samo jak my. Niektórzy udzielają się w inicjatywach dobroczynnych, inni działają na polu kultury. Pewna kobieta z gatunku zombi, którą znałem dość pobieżnie, przyjechała z Rosji specjalnie, żeby zaopiekować się moją ciężko chorą matką i zrobiła to z ofiarnością i uśmiechem, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Było to dla mnie źródłem dziwnego doświadczenia: można popijać razem z zombi herbatę i śmiać się przy wspomnianiu starej komedii romantycznej, jednak wystarczy powiedzieć jedno słowo o wojnie w Ukrainie, poważić się na jakiś przytyk do Putina, a wtedy zombi

sztynnie z otwartymi ustami albo zaciśniętą szczęką. I w tym momencie jest gotowy pożreć głowę rozmówcy. Nie mają już znaczenia przyjaźń ani rodzinne więzi. Jego własne dzieci stają się dla niego tylko mięsem.

Myślicie, że przesadzam? Że odgrywam jakiś tani melodramat?

Katia, lat szesnaście, utknęła w Mariupolu z ciałem swojej matki zmarłej z powodu wychłodzenia i niedożywienia. Dzwoni do wujka, który mieszka w Rosji, żeby powiadomić go o śmierci jego siostry. Odpowiedź wyraźnie zmieszanego wujka-zombi brzmi: „Kim ty w ogóle jesteś, żeby opowiadać mi takie głupoty? Nie dzwoń do mnie więcej. Nie znam cię”.

Rosyjski jeniec dzwoni do rodziny z płaczem i opowiada, że nie znalazł żadnych nazistów w tej całej Ukrainie, którą miał „denazyfikować”, zabijając cywilów. W odpowiedzi słyszy poirytowaną matkę-zombi: „Przestań, Siergiej, przecież widzę, że ci naziści cię przekabacili”.

Inna mama znalazła w internecie nagranie wideo ze swoim synem, który został ranny i trafił do niewoli. Opowiada on o koszmarnych warunkach na polu bitwy: jego oddział – porzucony przez przełożonych, bez paliwa, bez amunicji, z racjami żywnościowymi, których termin

przydatności upłynął w 2015 roku – musiał się przez tydzień okopywać w lesie, w czasie mrozu... Zrozpaczona matka opowiada o tym sąsiadkom, pokazując im nagranie. Domorośle ekspertki twierdzą kategorycznie: „Rosyjska armia się tak nie zachowuje. To jakiś fake. Zresztą przypatrz się uważnie mundurowi tego chłopaka, popatrz na jego buty, przecież u nas nie nosi się takich łachmanów. A te odbicia w szybie za nim, to wygląda na montaż. A przede wszystkim, chociaż jest pewne podobieństwo, to nie jest Borys. Nie ma mowy! Twój syn jest szerszy w barkach”. Matka wreszcie daje się przekonać, że Borys to nie Borys i przez kilkanaście dni wypiera fakty, aż wreszcie dostaje telefon z Ministerstwa Obrony z oficjalnym potwierdzeniem pierwotnej wiadomości.

Żaden dowód, choćby nie wiem jak konkretny, nie jest w stanie wytrącić zombi z ich przekonań. Oni nie tylko nie wierzą w to, co widzą, ale wręcz woleliby stracić wzrok, niż popaść w zwątpienie. Arkadij opowiada, jak po godzinach przekonywania udało mu się nakłonić swojego ojca do obejrzenia na YouTube nagrań spalonych budynków w Charkowie i Mariupolu. Niewzruszona odpowiedź brzmiała: „Przecież dobrze wiesz, że to Ukraińcy

sami zbombardowali się raketami. A potem próbują odgrywać rolę ofiar”.

Anastazja natomiast wstydzi się, że jest Rosjanką. Na co jej siostra: „Nie kochasz swojej ojczyzny! A ona tyle ci dała. Ubrała cię, nakarmiła, dała dach nad głową. Spójrz na to piękno, na naszą przyrodę, na brzozy! Spójrz na tę cerkiew! Może powinnaś wyjechać i żyć gdzieś indziej? Może powinnaś stąd spadać? Gdyby cię teraz usłyszał twój dziadek, który został ranny na Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej!”.

Czasami agresja werbalna staje się znacznie bardziej zaciekła. Pewien zombi (po wypiciu) maltretował żonę tylko dlatego, że chciała zadzwonić do swojej matki mieszkającej w Charkowie. Na widok krwi mąż-zombi się rozochocił i jednym ciosem w dół pleców posłał swojego pięcioletniego syna prosto na ścianę. Chłopiec spędził szesnaście dni w śpiączce, po czym zmarł.

Nie ma w Rosji rodziny, która nie miałaby swojego zombi. To może być wujek, babcia, siostra, mąż. Media społecznościowe aż kipią od opowieści o tragicznych rodzinnych kłótniach, które przerodziły się w rozstania, kiedy nagle, zza maski ojca, brata, partnera, wyrzał jakiś zdeformowany potwór. Jak tu dalej żyć, kiedy ludzie,

których mieliśmy za bliskich i których niby znaleźliśmy na wylot, pod swoimi sympatycznymi minami skrywają pragnienie wojny i przyłączają się do wypowiedzi na temat „nazistowskiego bardaku” w Ukrainie, który tak im zagraża, że usprawiedliwia barbarzyńskie bombardowania szpitali i szkół?

Oleg użala się na Facebooku: „Zostałem teraz sam, jestem obcy w moim własnym kraju. Większość moich przyjaciół jest przeciwko mnie. Łącznie z tymi należącymi do elity intelektualnej. Doznaję agresji ze strony lekarzy, przedsiębiorców, nauczycieli”. Andriej pisze na swoim kanale na Telegramie: „Dzisiaj był naprawdę trudny dzień. Ludzie, którzy są mi bardzo bliscy, ulegli zombifikacji. Jestem uznawany za wroga przez moją własną rodzinę. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego będzie możliwe. Putin stał się im bliższy niż własny syn”.

„Zombifikacja”, jak to ujął Andriej. Ten termin nie jest żadnym wymysłem ani bon motem. Nie jest też zresztą nowy. Od początku lat dwutysięcznych w powszechnym użyciu funkcjonuje słowo „zombipudło” (зомбоящик) jako określenie na telewizor: pudło, które głucho dudni

i ogłupia¹. To słowo szybko zadomowiło się w języku codziennym, a gdy w 2018 roku wszedł na ekrany film o tytule *Зомбоящик*, na reklamującym go plakacie, być może niezbyt oryginalnym, widniał człowiek z telewizorem zamiast głowy. W środowiskach liberalnych już od dawna zauważano, że otępienie zombipudłem ma swój ukryty wymiar polityczny: putinowska telewizja stała się fantastyczną maszynką do odmóżdżania. Wiedzano o jej szkodliwej mocy, ale kazania czołowych telewizyjnych kapłanów – Dmitrija Kisielowa, Margarity Simonjan, Władimira Sołowjowa, Olgi Skabiejewy² – budziły tylko szyderczy śmiech... Przecież były tak nachalnie propagandowe, nieraz wręcz groteskowe! Jak ktoś o zdrowych zmysłach mógłby się na to nabrać?

Jednak to dopiero przy okazji inwazji na Ukrainę okazało się, że wszędzie żyją prawdziwi zombi – tacy, jak z filmów Romero. Agresywni, mamroczący cały czas ten sam bełkot zaczerpnięty z oficjalnych przemówień,

¹ W tym samym stylu ukuto również termin „telezombifikacja” (*телезомбирование*).

² W Rosji ci producenci i prezenterzy telewizyjni stanowią istotny element pejzażu. Kisielow jest dyrektorem agencji Rossija Siegodnia (Rosja Dziś), a Simonjan szefem Russia Today. Sołowjow i Skabiejewa prowadzą polityczne talk-showy. Ogląda się ich praktycznie codziennie.

wyśmiewający jako fake newsy wszelkie zjawiska, które mogłyby zdekonstruować ich pojęcie na temat świętej Rosji. Zombi napędza głód świeżego mięsa, który chcieliby zaspokoić na swoich ukraińskich sąsiadach, ale nie pogardzą również innymi Europejczykami, Amerykanami, Japończykami, Turkami, Gruzinami, Mołdawianami, jeśli wierzyć strumieniowi informacji płynącemu z agencji TASS albo RIA Nowosti.

Bynajmniej nie zmuszają ich do tego okoliczności. „Naziści” nie bombardują Moskwy. Nie toczy się żadna nowa operacja „Barbarossa”. Nie ogłoszono nawet generalnej mobilizacji. Zresztą w przeddzień rosyjskiej inwazji przeciętny zombi (który jeszcze nie wie, że nim jest) był absolutnie przekonany, że nie będzie żadnej wojny. Dałby sobie za to rękę uciąć. Jak mogłoby do niej dojść między dwoma bratnimi krajami, które dzielą ten sam język i tę samą prawosławną wiarę? Wojna? Dajcie spokój, przecież to bez sensu! Sam Ławrow tak powiedział!

– Rosja chce pokoju. Całe to zamieszanie zostało wywołane przez Zachód, żeby sprzedać więcej broni i sprawić, że ludzie zapomną o kryzysie covidowym – próbuje mnie przekonywać Anna, stara przyjaciółka rodziny, od której otrzymuję regularne wieści.

Anna mieszka w Moskwie. Do skromnej emerytury dorabia tłumaczeniami technicznymi – zna francuski, angielski i niemiecki. Telewizji ogląda mało, chyba że przy okazji odwiedzin u starej matki, którą się opiekuje. Starsza pani z objawami demencji przez cały dzień siedzi przy włączonym odbiorniku.

– Mama nie czuje się ostatnio najlepiej – zwierza mi się Anna. – Przez to zamieszanie wydaje jej się, że Rosjanie mogliby ponownie zrobić to, co kiedyś z Czechosłowacją. Wiadomo, to były czasy jej młodości, 1968 rok...

Ta zniedołężniała staruszka zdecydowanie okazała się bardziej przewidująca niż jej córka.

– Przekaż swojej mamie moje wyrazy uszanowania – mówię do niej. – To niesamowita kobieta.

Rozmawialiśmy 15 lutego. Miasto Mariupol jeszcze istniało, tak samo jak jego teatr dramatyczny, port i ogrody.

Ponownie rozmawialiśmy już na początku marca.

– O jakiej ty wojnie mówisz? – zaperza się Anna. – Nie ma żadnej wojny, tylko operacja wojskowa, a to dwie zupełnie różne rzeczy.

Stosowanie tego eufemizmu w ogóle jej nie zenuje.